Zeszyt 2. Rok I.



Lwów 7. Lutego 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi:
we Lwowie rocznie zł. 7·40 — półrocznie zł. 3·70 — kwartalnie zł. 1·85.— Z przesyłką pocztową rocznie 8 zł. półrocznie 4 zł. — kwartalnie 2 złr. Za granicą 16 marek.

Adres administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

MARZNĄCE FALE.

POWIEŚĆ

przez WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— I dobrze, żeśmy zaczęli o tem mówić, bo chcę ci panie Zarembo dokładnie przedstawić stan naszych interesów. Mówię naszych, a właściwie powinienem powiedzieć waszych, to jest twoich i twojego brata. Po śmierci waszego zacnego ojca wybuchła owa nieszczęsna wojna i zrujnowała was z kretesem. Wszak prawda? No, ale stary Miller wiedział co wam winien. Kiedy stary Miller przyszedł tu *aus Pommern*, to był taki biedny, taki biedny jak pies ostatni. I któż mu dopomógł? ojciec wasz. To stary Miller pamięta i pamiętał. Nie likwidowaliśmy się też wcale, ale ja was zasłoniłem moją firmą i moim majątkiem i wyratowałem. Winni mi jesteście jeszcze sześćdziesiąt cztery tysiące złotych, ale i te spłacicie za trzy lata. Tak! tak! wszystko jest dobrze... Ja was zawsze kocham i o, tu mam obrazek jeden niemiecki, na którym stoi napisane: *Alte Liebe rostet nicht* — i ja go sobie tu zawiesiłem, żebym podniósłszy oczy, mógł wyczytać tę piękną maksymę.

Uśmiechnął się na te słowa melancholijnie Zaremba, podniósł swe oczy na obraz i nic nie odrzekł.

— Ale ja ci coś chciałem powiedzieć, panie Zygmuncie. Ty nie obrazisz się, że ci słowa prawdy powie stary przyjaciel twego ojca, stary Miller.

Zaremba spojrzał na mówiącego, a w jego oczach zamigotał jakiś niespokojny błysk, a piękna twarz pokryła się lekkim rumieńcem.

— Słucham pana — wyrzekł, usiłując nadać swemu głosowi wyraz pewności i spokoju.

— Bo to widzisz, wy Polacy — mówił Miller, strząsając popiół z cygara — macie dziwną naturę. Jak Pana Boga kocham, dziwną! Zapalacie się do wszystkiego łatwo, ale jeszcze łatwiej stygniecie. Ja jakem był w Szwecji, widziałem tam jedno jezioro. Nazywa się, jeżeli mię pamięć nie myli, Mellar. Wszak jest takie jezioro w Szwecji?

— Jest, ale cóż to ma...

— Zaraz, zaraz, gorącoście wszyscy kąpani. Otóż to jezioro w jesieni, jak wichry powieją, to się tak bałwani i takie ma wielkie fale, że aż strach. Zdaje się, że to morze, a to tylko jezioro. Fale płyną, pędzą za falami i sądziłbyś mógł, że wszystka woda z jeziora spiętrzy się i wyleje... Gdzie tam! przyjdzie mróz odrazu silny i masz wtedy widok jakiego nigdzie nie ujrzysz. Wszystkie fale tak jak się rwały i piętrzyły, tak zamarzły. Otóż wy Polacy jesteście takiemi marznącemi falami, po burzy niedawnej...

Wyrzekłszy to, puścił kłąb dymu i poprawił się na swym fotelu.

— Bardzo to jest piękne, bardzo nawet poetyczne porównanie — odezwał się na to Zaremba — ale radbym wiedzieć, dla czego mi pan to mówisz, panie Miller?...

— Dla czego ja ci to mówię? No, przecież ty nie masz, mój Zygmuncie, tępej głowy. Nie znałem zresztą szlachcica polskiego, któryby miał tępą głowę. Ale widzisz, ja ci to mówię dla tego, że kiedy już wybrnąłeś z interesów, to nie przestawaj żyć skromnie, nie bądź marznącą falą i nie myśl tylko o robieniu majątku.

Przerwał i ustał.

— Ale ja tu rozprawiam z tobą, a tam moja pani siostra niecierpliwi się. Kawa już musi być gorąca. Może też się napijesz ze mną kawy? Dawny to obyczaj niemiecki i dobry obyczaj. No, pójdziesz ze mną na górę?

— Dziękuję, ja jeszcze obiadu nie jadłem, spieszę do domu.

— Prawda, że to ty późno jadasz obiad. Nowomodne to, ale niedobre. O! jest list — dodał biorąc list z pulpitu. — Krewna moja pisze mi, że jutro przyjeżdża do mnie na stałe....

— Cóż to za krewna? — spytał oziębłe Zaremba.

— Mina, córka ciotecznej mej siostry. Ojciec polak umarł i matka jej teraz umarła. Cóż sama będzie robiła w Gdańsku? Zaprosiłem ją do siebie. Zawsze to krew Millerów, a przytem i krew polska; nie może być nic lepszego, jak mięszać krew niemiecką z polską. Ja widzisz wieczorami studjuję tę rzecz. Ciekawe to bardzo... No, nie idziesz ze mną?

— Nie, dziękuję.

— Więc do widzenia.

Uścisnęli się za ręce i wyszli. Zegar ukryty gdzieś w cieniu, wykukał trochę chrapliwym głosem piątą godzinę wieczorem. Na niebie gasły już blade blaski dnia zimowego i zapalano latarnie. W izbie zapanowała martwa cisza, tylko świerszcz wyszedł z pod pieca i jednotonnym swym głosem napełnił tę pustkę smutną i ponurą.

II.

Po ciemnych i mocno wydeptanych schodach, wdrapał się Miller na pierwsze piętro. Kluczem, który miał w kieszeni, otworzył drzwi i z ciemnego przedpokoju wszedł do dużej izby, oświetlonej lampą wiszącą u sufitu. Na środku wznosił się stół pokryty czerwoną ceratą, a na nim w drucianym koszyku, leżały bułki i rogaliki, w szklankach zaś stała kawa.

Z po za stołu na odgłos kroków Millera podniosła się wysoka postać niewieścia i kładąc zaczętą pończochę i druty, wpatrzyła się w kupca. Blask lampy oświetlał dobrze jej twarz surową, ostro zarysowaną, bujne krucze włosy tu i owdzie przypruszone siwizną, jej wielkie siwe oczy pełne siły połączone z zimnym wyrazem, jej nos wydatny, ostry, jej usta nakoniec bezkrwiste i wąskie. Na całej martwo-białej i niepozbawionej pewnej poważnej piękności twarzy, malowała się surowość i siła raczej męzka niż kobieca.

Ubrana bardzo skromnie w czarną merynosową suknię, zapiętą pod szyję wysoko, o biuście bujnie rozrośniętym, stała z ręką wspartą na zaczętej pończosze, wpatrzona swemi wielkiemi stalowemi oczami we wchodzącego.

Żółte światło lampy ślizgało się po jej kruczych włosach bez odblasku żadnego, po jej twarzy bladej, po jej ustach bez krwi, po jej szyi krótkiej i niepowabnej, nie zapalając nigdzie na tej postaci tych cudownych barw krwi i złota, które tak lubimy widzieć wieczorami w kobiecie. Była to postać, w ogóle mówiąc, ponura i groźna.

I całe otoczenie zresztą było dość posępne. Pokój był duży, o dwóch oknach, zasłoniętych ciemnozielonemi roletami, cały ciemnem obiciem pokryty, umeblowany w staroświecki, rzeźbiony w dębowem drzewie kredens i kilkanaście wysokich czarnych krzeseł. Na ścianach wisiało kilka zczerniałych obrazów i wszystko to miało wygląd klasztorny, ponury. Nie było tu nic coby mogło rozweselić oko; żadnych barw, żadnych blasków.

— Spóźniłeś się dzisiaj, Fryderyku — rzekła do wchodzącego Millera kobieta głosem ostrym, surowym, bezdźwięcznym — kawa wystygła.

— Nie gniewaj się Joe, nie gniewaj. Robiliśmy rachunki całoroczne z Zarembą, a to zabiera dużo czasu. A przytem jestem bardzo wesoły.

Usiadł przy stole, założył sobie serwetkę pod brodę jak dziecko i z wewnętrznem zadowoleniem chwycił rogalik i rozłamał go na dwoje.

Joanna także usiadła i rzekła:

— Punktualność jest grzecznością nawet królów.

Na to Miller nic nie odpowiedział, spojrzał tylko z ukosa na siostrę i jadł z wielkim apetytem rogalik, maczając go w kawie.

— Powiedzże mi Fryderyku, jaki dochód macie z przeszłego roku? — zapytała znów Joanna swym spokojnym, zimnym, suchym głosem.

— Czterdzieści sześć tysięcy trzysta dwadzieścia sześć złotych, groszy dwadzieścia! — wyrecytował Miller z pewnym zabawnym akcentem niemieckim.

— Wiele to jest rubli?

— Albo ja wiem! Wiesz że nie umiem liczyć na ruble.

— Źle robisz Fryderyku, muszę ci to jeszcze raz powiedzieć. Rachunek dziesiętny jest zawsze najlepszym rachunkiem.

Umilkła, nadrobiła sobie bułki do kawy i tak dalej pytała:

— Połowa tej sumy przypada Zarembie?

— Tak.

— A ratę odtrąciłeś mu?

— To się rozumie.

— Więc w ogóle interes idzie lepiej?

— Tak, idzie lepiej.

Zapanowało głuche milczenie. Z zewnątrz dochodził głuchy turkot życia miejskiego.

Joanna wypiła kawę, odsunęła szklankę, wzięła z kolan pończochę w swe ręce suche, kościste, o długich palcach, ubranych w mitynki włóczkowe i zapatrzona w swą robotę, zapytała:

— A teraz powiedz mi Fryderyku, czego byłeś wesoły?

— Ba! ba! ba! Joe, i ty się ucieszysz! Mam list od Miny.

— I cóż ci Mina pisze?

— Że przyjeżdża jutro do nas. Chciałem cię nawet prosić, byś kazała przyrządzić dla niej zielony pokoik. Trzebaby tam trochę mebelków postawić, jaki stoliczek, jaką kanapkę... Z mego pokoju można będzie coś zabrać...

Mówiąc to, wypił kawę, obtarł usta, serwetkę mocno pomiętą rzucił na stół i wpatrzył się swemi maleńkiemi oczkami, pełnemi teraz radości, w siostrę. Ta nic nie odrzekła, tylko widząc rzuconą na stół ciemno-burakową serwetkę, złożyła spokojnie i w milczeniu, z pewną właściwą sobie powagą i automatycznością ruchów pończochę na swych kolanach i sięgnęła po serwetkę. Wziąwszy ją do ręki, starannie rozłożyła na stole, wyprostowała liczne jej zagięcia dłonią i poczęła składać w trójkąt.

— Tyle razy ci, Fryderyku, mówiłam — rzekła po chwili — żebyś nie miał tak serwet. Pranie i prasowanie należy teraz do rzeczy kosztownych, do zbytków prawie.

Wypowiedziawszy to wszystko swym tonem suchym i bezdźwięcznym, odsunęła na bok nieszczęsną serwetkę i zabrała się do pończochy. W pokoju, w tej dużej i mrocznej izbie, zapanowało znów to głuche, melancholijne milczenie, przerywane tylko ulicznym turkotem wozów. Miller popatrzył przez chwilę na siostrę, z jego oczów znikł ów rozkoszny płomień, który je przez chwilę ożywiał, a usta wyciągnęły się z wyrazem niechęci i niezadowolenia. Wstał z łoskotem, otrzepał rękami przód swego surduta z okruchów bułki i począł chodzić po pokoju. Wielkie jego kroki rozlegały się w tej ciszy, niby stąpania olbrzyma.

Nakoniec zatrzymał się, przysunął do stołu i wyjął z kieszeni cygaro, które począł starannie obcinać. Jego twarz dobrze teraz oświetlona żółtem światłem lampy, zachowała ciągle ten wyraz niechęci i niezadowolenia, jaki na niej zajaśniał po wysłuchaniu od siostry repremendy o ciemno-burakową serwetkę. Małe siwe oczka powleczone były szklistą, mętną jakąś powłoką. Z kieszonki od kamizelki wydobył zapałkę i przytknął do szkła od lampy.

Ruch ten wywołał w Joannie drgnienie. Podniosła swe duże oczy z gniewem na zapałkę, buchającą purpurowym płomieniem, i miała już coś rzec, gdy nagle spojrzała na brata.

Lekko przygryzła wargi i spuściła oczy na pończochę, której druty teraz z niezwykłą szybkością migać poczęły.

Miller zapaliwszy cygaro, puścił parę kłębów błękitnego dymu i chodząc wciąż po pokoju, mówił:

— Zdaje mi się Joanno, żem ci już powiedział o przyjeździe jutro Miny.

Głos jego teraz był dziwnie spokojny i silny, ale zarazem miał całą suchość i całą surowość tonu, znamionującego głos jego siostry.

— Tak! — odrzekła Joanna, nie podnosząc oczów od pończochy.

— Dlaczego nie pytasz mię o więcej? Czy ci Mina jest obojętną? Wszak to córka jedynej twej krewnej?

Joanna przez chwilę milczała, a potem wciąż mając spuszczone oczy na pończochę, którą robiła z jakąś gorączką, bo na drutach migotały, niby błyskawice, zapalające się i gasnące blaski lampy, rzekła głosem nieco przytłumionym i drżącym.

— Niezwykła jestem zmieniać mych zasad i mych zdań, Fryderyku. Wiesz o tem dobrze.

Miller nagle zatrzymał się i zwrócił do siostry. W jego maleńkich oczkach błyszczały pioruny.

— Co to znaczy? — zawołał.

— To znaczy, że kiedy nie chciałam mieć żadnych stosunków z jedyną krewną, nie chcę mieć także stosunków z jej dzieckiem.

— Czy dlatego jeszcze, że ta krewna nie poszła zamąż podług twej woli?

— Nie! dlatego że poszła za Polaka. Ja nie lubię Polaków.

— Mocno są tem zmartwieni Polacy! — zawołał z szyderstwem Miller i dodał: — Bądź jak bądź Mina jest jedynem dzieckiem Augusty i jedyną naszą krewną i obowiązkiem moim jest przytulić ją. Coby świat na to powiedział, gdybym ja, stary Fryderyk Miller, odepchnął sierotę, dziecko mej krewnej, ja który nie mam dzieci i mam majątek! Twoja nienawiść do Polaków, Joanno, jest głupstwem, tak, kapitalnem głupstwem. Ja kocham Polaków, dorobiłem się tu chleba; naród to dzielny i basta. Zresztą Mina jest Niemką. Jej matka była Niemką, a dzieci zwykle są tej co i matka narodowości. Mam nadzieję, że ją pokochasz, Joanno.

Mówił to już spokojniej i z pewną łagodnością, jakby chciał przebłagać siostrę za swe ostre wyrażenia przed chwilą.

Ale na tej surowej, bladej i poważnej twarzy nie było znać żadnej zmiany. Jak przedtem tak i teraz, nie ozłacały swemi promieniami tej cery zeschłej i zawiędłej żadne światła, nie wypływały na wierzch żadne uczucia. Siedziała wciąż nieruchoma, surowa, ponura, jak wcielona idea przeznaczenia.

— Zwracam twoją uwagę Fryderyku — rzekła nakoniec, nie podnosząc wcale oczów — że nie jesteś-

my ani tak bogaci, ani tak przyjemni oboje, byśmy mogli trzymać przy sobie młodą dziewczynę, zapewne pustą i wesołą i zapewne bardzo ubogą.

— Naturalnie, że ubogą! — zawołał na to Miller — zkądżeby miała być bogatą? I dobrze odgadłaś Joanno. Jest ona bardzo wesoła i pusta trochę. Jej list jest jednym ciągłym śmiechem i niczem nie zachmurzoną wesołością.

— A więc? — podniosła oczy i wpatrzyła się w brata Joanna.

— A więc — rzekł Fryderyk — będzie to bardzo dobrze, jeżeli w nasz byt smutny, kwaśny i ponury, to dziecko śmiejące się wniesie trochę wesela. Będzie to tak, jakby do zawsze ciemnej piwnicy wkradł się złoty promień słońca.

Począł znów chodzić po pokoju i puszczając kłęby dymu z cygara z taką gwałtownością, że aż w niem skwierczało, mówił:

— Pod takim promieniem zniknął szare, bezbarwne mroki naszego życia, ozłocą się smutne i ponure jego kolory. Sami staniemy się weselsi. Będziemy mieć cel życia. Dotąd ciężko pracowaliśmy, teraz poczniemy się bawić. Będziesz z nią i ze mną Joanno chodziła do teatru. Teatr warszawski ma sławę, że jest znakomity. Warto go choć raz obaczyć. Zaremba kilkakrotnie mi mówił, że grają w nim artyści i artystki z ogromnym talentem. On sam podobno pisze jakąś sztukę. Pójdziemy na jego sztukę. W karnawale wydamy bal...

— Bal! — krzyknęła Joanna głosem silniejszym, pełnym nieopisanej grozy — bal! Fryderyku, co też ty mówisz? Czy zapominasz, że nie jesteśmy tak bogaci, byśmy sobie mogli na takie zbytki pozwalać, że nie stać nas na to, byśmy jakąś ubogą, nieznaną nam kuzynkę przyjmowali i dla niej się rujnowali.

— Nie bój się Joanno, nie łatwo starego Fryderyka Millera zrujnować! — roześmiał się kupiec. — Około miljona gotówki, toć to grosz Joanno. A i sklep też coś wart i co roku będzie on więcej wart. A kamienica? Trzykroć mi za nią dają! Nie bój się, nie zrujnuję się ja. Jestem bogaty i bezdzietny, i chcę resztki mego życia, przepędzonego w ciężkiej pracy, rozweselić sobie nieco.

Zatrzymał się przy stole, wlepił swe siwe maleńkie oczki w siostrę i rzekł tonem suchym i poważnym:

— Lecz dość tego, Joanno. Wolą moją jest, żeby Mina u nas mieszkała. Tak chcę i tak być musi. Zielony pokoiczek kazać dla niej przygotować. Proszę najładniejsze meble tam przenieść. Niech nikt nie powie, że stary bogaty Fryderyk Miller odepchnął swą ubogą jedyną krewnę. (C. d. n.)

Kwiat szczęścia.

(Ciąg dalszy.)

Gwido podał ramię pani Ewelinie, a uważał to za swoje wyłączne prawo i poprowadził ją przodem do sali jadalnej. Andzia ujęła Henryka za rękę i w poufnej pogadance ciągnęła za sobą. Pochód zamykał papa Kroneg mrucząc gniewliwie na niepoprawnego syna, który niejednokrotnie naraził się gospodyni domu swoim sarkazmem.

Pan radca był bratankiem zmarłego męża Eweliny i jakkolwiek rzadko się z sobą widywali mieszkając na dwóch przeciwnych krańcach kraju, ożywioną pomiędzy sobą prowadzili korespondencję. Kroneg dobijał się stopniowo i zwolna stanowiska w urzędzie i doprowadził do godności tajnego radcy, gdy tymczasem Rehfeld poświęciwszy się handlowi, w krótkim stosunkowo czasie zrobił znaczną fortunę i wycofał się z interesu.

Rehfeld ożenił się już w 48 roku życia, a żona odumarła go w kilka lat po ślubie, pozostawiając córkę. Po śmierci żony przyjął w dom daleką kuzynkę do towarzystwa Andzi, której zbywało na opiece ręki kobiecej, lecz nim rok upłynął poślubił przybraną opiekunkę dając swemu dziecięciu drugą matkę. Do tego kroku spowodowało go przywiązanie i miłość Andzi z jaką przylgnęła do Eweliny, która prawdziwą stała się dla niej matką, mimo nieznacznej pomiędzy niemi różnicy wieku. Dwudziestoletnia wówczas Ewelina nie była co prawda stosowną partją dla blisko sześćdziesięcioletniego Rehfelda i nie bez dłuższego namysłu zgodziła się oddać swą rękę oblubieńcowi o tyle od siebie starszemu, ale sierota bez majątku i widoków na przyszłość poszła za głosem rozsądku.

Nie długo cieszył się Rehfeld posiadaniem młodej i pięknej żony, umarł w trzy lata po powtórnem ożenieniu się. W czasie długiej i ciężkiej słabości otaczała Ewelina męża serdeczną troskliwością, spędzając dnie całe przy łóżku chorego. Nadmierne wysilenia i bezsenne noce oddziałały szkodliwie na wątłe jej zdrowie i pociągnęły za sobą cierpienia piersiowe, które z każdym rokiem groźniejszą przybierały postać. Pobyt kilkuletni na południu nie przyniósł spodziewanej ulgi, a w tym roku słabość groźniej wystąpiła jak kiedykolwiek dotychczas.

Radca Kroneg nie bez wyraźnego celu zjechał tym razem do willi Rehfeldów i po raz pierwszy przywiózł z sobą syna. Chodziło o zrealizowanie dawnego układu zawartego pomiędzy nim i nieboszczykiem Rehfeldem, układu znanego pani Ewelinie i przyjętego przez nią przychylnie, to jest poślubienia Andzi Henrykowi Kroneg.

Młodzi przylgnęli do siebie od pierwszej chwili poznania i stosunek pewnej poufałości zapanował pomiędzy parą przeznaczoną sobie na mocy familij-

nego układu. Andzia polubiła Henryka, z którym mogła bujać swobodnie po górach i lasach, śmiała się z nim razem, dąsała czasami, przepraszała się z przyszłym swym panem i mężem i czuła się zupełnie szczęśliwą.

Henrykowi podobała się szczerość i swoboda kuzynki, jej sposób mówienia bez ogródki wszystkiego co myślała i ta wesołość niekłamana, która odpowiadała jego usposobieniu.

Po objedzie zaprosił radca syna swego na poufną rozmowę.

— Bój się Boga, Henryku! kiedy ty się nareszcie ustatkujesz? proszę, napominam, grożę... ale wszystko na próżno. Byłeś nicponiem i jesteś nim po dziś dzień, ale to się musi raz skończyć... Zapowiadam ci po raz ostatni, że moja cierpliwość już się wyczerpała. Zapamiętaj więc sobie i zastosuj się do tego! — perorując, chodził radca wielkimi krokami po obszernym salonie i zwracał się co chwila do Henryka, który odwrócony twarzą do okna, wybębniał palcami jakiegoś marsza.

Odsapnąwszy, zabierał się papa Kroneg do dalszego ciągu kazania, ale uprzedził go Henryk.

— Ma ojciec zupełną słuszność! jestem niepoprawny — odpowiedział, zwróciwszy się do ojca.

— Przyznajesz? — zapytał radca, zdziwiony tak niespodziewanym zwrotem.

— Przyznaję!

— Odpowiedz mi więc na jedno pytanie: Co z ciebie będzie?

— Wie ojciec, że odpowiedź niełatwa. To wiem tylko, że wzorowym urzędnikiem chyba nigdy nie będę... nie mam najmniejszej ku temu zdolności.

— Powiedz, że nie masz chęci, a powiesz prawdę. Jesteś najmłodszym urzędnikiem w ministerjum, z płacą, która ci nie wystarcza na drobne twoje wydatki: wiesz, że majątku nie dostaniesz, więc na co ty liczysz? Coby z tobą było, gdyby nie przypadkowe szczęście, które ci daje w rękę krociowy majątek z młodą i ładną żoną?

— Niby nie było. Musiałbym się przebijać przez świat o własnych siłach.

— Jakbyś był stworzony do tego! Ty i o własnych siłach... nie daj się wyśmiać. Dziękuj Bogu, że masz zapobiegliwego ojca, który o tobie myśli. Może Andzia zrobi z ciebie innego człowieka, bo co do mnie, straciłem nadzieję, żeby mi się to udało. Kochasz ją przecież? bo o niej nie wątpię. Patrzy w ciebie jak w obraz.

— Jesteśmy z sobą dobrze. Ale ojciec mówi o naszem małżeństwie, jak o rzeczy mającej się dokonać w najbliższej przyszłości — przeciw takiemu gwałtowi protestuję. Umowa stanęła pomiędzy mną i ojcem, że jeszcze jeden rok mam używać swobody kawalerskiej i dopiero po upływie tego terminu podać kark w jarzmo małżeńskie.

Papa Kroneg załamał ręce, potem wzniósł je w górę, jakby niebo wzywał na świadectwo.

— Co ten człowiek wygaduje? Kark podać w jarzmo! nie potrzeba niczego więcej, tylko żeby pani Ewelina to usłyszała. Ona sądzi, że oddaje Andzię człowiekowi, który będzie wychuchane to dziecko otaczał czcią, poszanowaniem i nieograniczoną miłością, a tu tymczasem...

— Dobrze się wybrała, szukając u mnie tych idealnych przymiotów — wtrącił Henryk z wybuchem głośnego śmiechu.

Radca stracił cierpliwość do reszty. Przesunął ręką po łysawej głowie jeżąc resztki włosów, a spojrzawszy groźnie na syna, wyrzekł:

— Czy nie przestaniesz udawać błazna? Więc w odpowiedź na tę prawdziwie macierzyńską miłość nie znalazłeś nic innego?

— Mój ojcze! zdawało mi się, że odpowiadam właśnie w myśl sądu, jaki masz o mnie. Głosisz zawsze, że jestem nicponiem, lekkoduchem i tam dalej... a tu naraz mam być owym idealnym opiekunem i kochającym mężem...

— Nie wiem jak odpowiem przed nieboszczykiem Rehfeldem, że los jedynej jego córki złożyłem w takie ręce! — wyrzekł radca z ciężkiem westchnieniem.

Na twarz Henryka wystąpił rumieniec, a w głosie czuć było pewne rozdrażnienie, gdy odpowiedział:

— W istocie, że nie pojmuję ojca. Uważasz mnie za straconego syna, który zeszedł na bezdroża i przypisujesz mi... niech nie użyję właściwego wyrazu. Cóż takiego zrobiłem? Kilka lub kilkanaście szaleństw, które każdy w moim wieku popełnia, parę nocy nieprzespanych, trochę długów, za które błagałem w pokorze o przebaczenie... Czy to takie straszne zdrożności, że każą wątpić o moim charakterze?

— Więc to nic nie jest? drobnostki, o których nie warto wspominać? nie ma co mówić, daleko zaszedłeś. Chłopcze! jesteś na złej drodze, nawet Hellmar twierdzi...

— Gwido? — zapytał Henryk z gniewem w oku. — On także należy do chóru potępiających mnie?

— Przeciwnie! bronił i uniewinniał cię w obec pani Eweliny ze zwykłem sobie wyrozumieniem. Dziwię się doprawdy tej jego względności dla ciebie, zwłaszcza, że ty na każdym kroku dogryzasz mu i natrząsasz się z niego i z jego genjalnych utworów.... Inny, mniej zarozumiały, dawno byłby przyszedł do przekonania, że Hellmar jest utalentowanym poetą, który dojdzie wysoko, i że zaszczyt ci czyni, przypuszczając do swej przyjaźni.

— W takim razie powinienbym sobie poczytać za zaszczyt, że mi się narzucił ze swojem towarzystwem. Ledwie zasłyszał, że wyjeżdżam do willi Rehfeld, zachciało mu się zwiedzić Alpy. W kilka dni zjawia się tutaj, niby to do mnie w odwiedziny, nad-

używa udzielonej mu gościnności i zamiast wyjechać z obcego sobie domu, „uprawia wysoce romantyczną przyjaźń dwojga dusz pokrewnych“. Pani Ewelinie może się to podobać, bo sama jest marzycielką o wielce idealnym nastroju, ale mnie obrzydły te rymowane kwilenia i westchnienia, a już to bezustanne magnetyzowanie samej pani Rehfeld melancholijnie-powłóczystym wzrokiem jest co najmniej nieodpowiednie, jeżeli nie zuchwałe. Nie mogę tego znosić.

Henryk zapalał się w miarę jak mówił, a przy ostatnich słowach nogą tupnął.

Radca spoglądał na syna ze zdziwieniem i nie umiał sobie zdać sprawy, dla czego hołdy Hellmara skierowane do pani Eweliny wprowadzają Henryka w taki gniew.

— Cóż ciebie to obchodzi? — zapytał po chwili.

— Właściwie nic mi do tego — odpowiedział Henryk pospiesznie i obrócił się do okna, przygryzłszy wargi.

— Gdyby tu chodziło o Andzię, w takim razie rozumiałbym twoje rozdrażnienie, ale pani Ewelina? Czy zazdrościsz jej tych kilku chwil jaśniejszych, które opromieniają krótkie już dni jej żywota? Mógłbyś także być nieco innym względem niej. Zachowujesz się dziwnie obojętnie, nie nazywasz jej inaczej tylko panią dobrodziejką i ostentacyjnie starasz się unikać wszelkiej z nią styczności.

— Mam jej może mówić: ciotko Ewelino? — zapytał Henryk.

— Dlaczegoż nie? Jest wprawdzie młodszą od ciebie o kilka lat, ale była żoną twego wuja i będzie twoją świekrą.

— Świekrą? — krzyknął Henryk z zaiskrzonem okiem i postąpił gwałtownie na środek pokoju.

Radca odskoczył w bok i z niedowierzaniem spoglądnął na syna, czy przypadkiem nie oszalał.

— Będzie nią przecież! cóż więc znaczył ten dziki okrzyk?

Henryk zapanował nad sobą i siląc się na uśmiech, co mu się nie całkiem jednak udało, odpowiedział:

— Ot tak sobie!... Myślałem tylko, czy nie za wielki ciężar wkładacie na Andzię, poruczając jej moje poprawienie. Na pasku wodzić się nie dam, a wątpię, żeby się zdobyła... krótko i węzłowato: rozmyśliłem się. Zanadto cenię wolność i swobodę, żebym się już teraz żenił, mam czas pomyśleć o tem za kilka lat.

Teraz brakło już naprawdę papie Kroneg cierpliwości. Palnął niepoprawnemu synkowi drugie jeszcze dłuższe kazanie, zasypał go wyrzutami, nagroził, nawymyślał, ale bezskutecznie. Henryk wybębniał najspokojniej marsza na szybie i nie słuchał nawet co ojciec mówi.

— Panie radco! cóż Henryk zawinił, że ściągnął na siebie tak srogi gniew? - odezwał się głos Hellmara od drzwi. — Wstawiam się za nim i proszę o przebaczenie.

— Bardzo ci dziękuję za opiekę, ale jestem pełnoletni i sam potrafię załatwić sprawę z ojcem bez obcej pomocy — odrzucił Henryk, wzburzony niewłaściwem wmięszaniem się trzeciej osoby do sporu pomiędzy nim i ojcem.

Radca inaczej przyjął wystąpienie Gwidona i zwróciwszy się do niego, ujął go za rękę, którą uścisnął serdecznie.

— Miałem z nim małą przeprawę. Wiesz pan jak jest lekkomyślny i niepoprawny...

— I dlatego chcielibyście mnie oddać do zakładu poprawy, zwanego małżeństwem — dokończył Henryk. — Ale nic z tego. Nie czuję się jeszcze godnym takiego wielkiego szczęścia i bronię się przed niem rękami i nogami.

Papa Kroneg zabierał się do trzeciego kazania, ale Gwido ujął go pod rękę i przeprowadził zwolna do kanapy, poczem zwrócił się do Henryka i łagodnie jął mu tłumaczyć, że nie ma słuszności, sprzeciwiając się woli ojca.

— Źle robisz, mój Henryku! pan radca słusznie doradza szybkie ożenienie się. Andzia jest miluchnem stworzeniem, z główką i złotem sercem, przytem partja korzystna, odziedzicza podobno połowę ojcowskiej fortuny.

— Tylko trzecią część — ozwał się papa Kroneg. — Ale i ta część jest jeszcze obciążoną pewnymi warunkami. Nieboszczyk Rehfeld powodowany wdzięcznością za troskliwą opiekę jakiej doznawał w czasie słabości, ustanowił swoją żonę uniwersalną spadkobierczynią.

— Pani Rehfeld może więc dowolnie rozporządzać tym majątkiem? — zapytał Gwido.

— Czy cię to interesuje? — wtrącił Henryk krótko i ostro.

— Bardzo! Wszystko co się ciebie tyczy, obchodzi mnie żywo, a tu idzie o twoją przyszłą rodzinę.

— Pani Ewelina jest samowładną panią całego majątku, tak opiewa testament. — Objaśniał papa Kroneg. — Ale po jej śmierci przechodzi majątek na Andzię. Mój Boże! zrzekłbym się chętnie całego spadku, gdyby tej zacnej kobiecie można życia przydłużyć. Ktoby się był spodziewał, że tak młodo będzie musiała uledz strasznej słabości, na którą sztuka lekarska nie ma środka. W tym roku bardzo podupadła na zdrowiu. Przestraszyłem się, ujrzawszy ją po roku niewidzenia. Miałem nadzieję, że może ten okrzyczany doktor Eberhard co pomoże, przynajmniej podtrzyma ją jakiś czas... ale niesposób zbliżyć się do tego dzika. Biedna kobieta! taka młoda, piękna i skazana na powolną śmierć!

(C. d. n.)

Z ALBUMU MARJI GROZY.

CIERNIE KWITNĄCE.

Gdzie wązka, stroma drożyna,
Przez skalne pnie się urwiska,
Cierń swe gałązki rozpina,
Jak krew z nich kwiatek wytryska.

* * *

Ścieżka ta obraz żywota:
Długa — posępna — daleka
Ciernie — to ból i tęsknota,
A kwiat — to miłość człowieka.

* * *

Życie nie śpiewka to płocha!
Kwiat z cierniem — godło tułacze...
Kto tęskni, płacze, ten kocha,
Kto kocha — tęskni i płacze...

* * *

Dla tego chwila jedyna,
Chwila, co z niebem nas łączy,
Łzą się zachwytu zaczyna,
I łzą wspomnienia się kończy...

St. Grudziński.

DWA WESELA.

(Humoreska).

I.

W pokoiku skromnie umeblowanym przy jednej z pryncypalnych ulic nadpełtwiańskiej stolicy, znajdujemy pewnego dnia po południu dwóch młodych ludzi. Hilary Piórkowski, syn obywatelskiej rodziny z Tarnopolskiego, młody i przystojny blondyn siedział na sofce i wsparłszy się o stolik, ukrył twarz w dłonie, pogrążony w smutnej jakiejś zadumie. Od czasu do czasu podnosił rozmarzone oczy i z miną błagalną spoglądał na towarzysza, jakby szukał u niego rady i pociechy.

Towarzysz siedzącego desperata, gospodarz pokoiku, Bolesław Zamorski, mierzył pokój wielkimi krokami i kręcąc małe wąsiki, uśmiechał się do siebie — jakby go bawiły kłopoty przyjaciela, — to znowu ściągał brwi i marszczył gładkie czoło, jakby myślał nad rozwiązaniem jakiejś zawiłej kwestji.

Po chwili przerwał milczenie siedzący.

— Powtórzże raz jeszcze moją smutną relację.

— A dajże ty mi święty spokój nudziarzu! — Przecież dziesięć razy nie będę opowiadał rzeczy tak prostej!

— Ale bo widzisz — w głowie mi się nie może pomieścić, ażeby los takiego mi figla wypłatał i to w chwili, kiedy już byłem prawie u celu. Od trzech dni łażę za nią jak cień, straciłem sen i apetyt, w biurze nic nie robię, a teraz, kiedy sądziłem, że się do niej zbliżę — nie! to okropne! Cóż mówiły twoje kuzynki?

— Ja bo w tej całej sprawie nie widzę nic nadzwyczajnego — odparł Bolek. — Zastanówmy się tylko trzeźwo nad sytuacją. Przed trzema dniami zobaczyłeś na wystawie pannę, która zrobiła na tobie wrażenie. Przypuśćmy, że tak jest, że zobaczywszy, zakochałeś się po uszy, jak jaki bohater z powieści. Przypuśćmy, powiadam, — bo chociaż stanowczo oświadczam, iż nie wierzę w owe z błyskawiczną szybkością rodzące się uczucia, to niech już i tak będzie. Ale idźmy dalej. Wczoraj ujrzałeś panią swoich myśli w towarzystwie moich kuzynek, wpadasz jak bomba do mnie, wypędzasz mnie z własnego pomieszkania i wysyłasz na zwiady. Nalatałem się jak koń dorożkarski, przyniosłem żądane wiadomości, wiesz teraz, kto ona, ta twoja nieznajoma, zkąd przyszła i po co, — a ty zamiast mi podziękować za przysługę, wpadasz w czarną rozpacz i dla czego? Oto, że panna odjechała. Wielkie rzeczy! Ja na twojem miejscu wiesz cobym zrobił?

— Ciekawym?

— Pojechałbym za panną, poznał, oświadczył się i kwita.

— Oszalałeś? Ależ pomyśl tylko, że ja w Hutach nigdy nie byłem, państwa Rosoczyńskich nie znam, a gdyby nawet, to tak bez pretekstu...

— Mam — zawołał z tryumfującą miną Bolek. — W Balinowie, wiosce o milę od twojej bogdanki odległej, mieszka jeden z moich kolegów szkolnych. Jedź do niego.

— Ale jakżesz? Gdzież! ty widocznie kpisz sobie ze mnie, albo...

— Posłuchaj naprzód! Kolega, o którym mówię, jest najpoczciwszą pod słońcem duszą, ale safanduła jakich mało. Rachując na to, wmówimy w niego, że i ty jesteś jego kolegą. Nauczę cię, co masz mówić, jak się masz zachować, a jeżeli nie przyjmie cię z otwartemi rękami, — no to wystawisz mi patent na co sam zechcesz. No cóż — zgoda? A teraz siadaj i pisz. Bo przecież trzeba uprzedzić Hopsiewicza o przybyciu.

I nie czekając czy p. Hilary zgodzi się na podany projekt, poszukał usłużny Bolek przyrządów do pisania, postawił je przed siedzącym, a widząc, że ten się waha, wetknął mu pióro do ręki i począł dyktować:

Szanowny Kolego!

„Zkąd mu się wzięło pisać do mnie“ — zawołasz zdziwiony drogi towarzyszu lat młodzieńczych, odczytawszy moje nazwisko. A może i ono już Ci wypadło z pamięci? Wszakci to już lat dziesięć ubiegło, odkąd się rozeszły drogi naszego życia. A chociaż mówią, że wspomnienia z czasów szkolnych najdłużej tkwią w pamięci, to przecież... Lecz nie chcę posądzać Cię o to i dlatego udaję się do Ciebie z tą

samą ufnością, jak ongi, kiedy to razem płataliśmy figle studenckie, i razem braliśmy za nie baty od poczciwych lecz surowych OO. Bazylianów Buczackich. Rzecz jest taka:

„Ukończywszy studja prawnicze, wstąpiłem do służby rządowej, w której już od kilku lat pozostaję. Gorliwa i męcząca służba biurowa i niezdrowe powietrze lwowskie podkopało moje niezbyt silne zdrowie i dlatego wziąłem z porady lekarskiej kilkotygodniowy urlop. Było to wielką z mej strony lekkomyślnością i dotąd nie pojmuję, jak mogłem się odważyć na krok takiej doniosłości nie pomyślawszy wpierw, co zrobić z otrzymanym urlopem. Nagle szczęśliwa myśl przyszła mi do głowy: Twój szkolny kolega Hopsiewicz ma wieś. Opisz mu swoje położenie i wyjedź do niego. Nie namyślając się długo, napisałem i ot prosta geneza niniejszego listu. Wiem drogi przyjacielu, że nie ładnie z mej strony, iż Ci się narzucam, lecz znając Ciebie, wiem również dobrze, że mi za złe tego nie poczytasz i dlatego proszę Cię o wysłanie koni do Załucza, dokąd najpewniej już jutro przybędzie Twój prawdziwy przyjaciel i kolega Hilary Piórkowski.

— Teraz — zawołał Bolek — przygotuj wszystko do podróży. List sam wyszlę a jutro wstąpię do ciebie, ażeby cię odwieźć na dworzec. No idźże już! — Albo poczekaj, raczej wyjdziemy razem. Muszę bowiem odwiedzić siostrę, która już od tygodnia bawi we Lwowie, o czem ja dopiero teraz dowiedziałem się od kuzynek. Wszak czuły ze mnie braciszek — co?

— To ty masz siostrę? Nic o tem nie wiedziałem!

— Ba! i jaką!

— Szczęśliwy! — szepnął Hilary jakby do siebie — ja nie mam nikogo.

W pięć minut potem pusto było w pokoju — a nazajutrz pociągiem kolei czerniowieckiej opuszczał Hilary Piórkowski Lwów, żegnany przez przyjaciela, który nie szczędził odjeżdżającemu rad i wskazówek, jak się powinien zachować w obec człowieka, którego po raz pierwszy miał ujrzeć, a w którego trzeba było wmówić, że są towarzyszami z ław szkolnych.

II.

Pan Jan Kalasanty dw. im. Hopsiewicz był właścicielem piątej części wsi Balinowa. Od lat ośmiu, t. j. od śmierci ojca objąwszy na siebie gospodarkę, nie ruszał się z Balinowa i chwalił Pana Boga jak umiał. Był to sobie prototyp galicyjskiego hreczkosieja. Jak wszyscy, stękał i on na ciężkie czasy, upadał pod ciężarem rat bankowych, sprzedawał zboże na pniu i nie mógł obyć się bez żydów, chociaż na nich ustawicznie narzekał. W chwili, kiedy rzecz nasza się dzieje, był p. Kalasanty jeszcze kawalerem, miał lat około 30., znajdował się zatem w wieku, w którym przeciętny obywatel szuka sobie połowicy. I w tem nie różnił się nasz bohater od reszty sąsiadów. Chcąc bowiem wiernym pozostać prawdzie, dodaję, że Imci Pan Jan Kalasanty d. i. Hopsiewicz bałamucił się już od dłuższego czasu w pannie Mani, siostrzenicy burmistrzostwa w Hutach. Burmistrzostwo życzyli sobie tego związku i panna nie była od tego, — cóż kiedy kawaler chociaż to niby bywał i czule oczy zawracał a nawet czasem i za rączkę uścisnął, nie mógł się jakoś odważyć na krok stanowczy. Zwlekał z dnia na dzień, a zapytany, dla czego raz już nie skończy, odpowiadał, że jeszcze się nie rozpatrzył, nie wie, czy panna mu sprzyja a nawet nie jest pewny czy uczucia jego dla panny wystarczą dla zapewnienia im obojgu szczęścia w przyszłem pożyciu.

Tak tedy p. Jan Kalasanty dw. im. Hopsiewicz, właściciel piątej części dóbr Balinowa z prawem propinacji i innemi przynależytościami, otrzymał pewnego pięknego poranku list, którego treść nam dobrze znana, wprawiła poczciwego szlachcica w ogromne zdumienie. Odczytawszy swoim zwyczajem list z całem namaszczeniem i przesylabizowawszy ostatnią zgłoskę podpisu, podniósł brwi do góry, jak człowiek, który czegoś pojąć nie może, po tem znowu ściągnął je, a po marsowem czole widać było, że stara się coś sobie przypomnąć, — aż w końcu — snać zmęczony tą niezwykłą pracą — ruszył ramionami, jak znowu zwykł czynić ten, co zdziwiony sam mówi do siebie: „albož ja wiem?“ — Popatrzył na adres... do niego. Najwyraźniej stoją tam oba jego imiona i nazwisko z dodatkiem sakramentalnego: „Wielmożny Pan i Dobrodziej“. Odczytuje list raz, drugi i trzeci... choć w łeb strzel! Co to być może? Prawda, — chodziłem do szkół w Buczaczu. Nienniej prawda i to, że OO. Bazylianie nie żałowali ręki. Lecz Piórkowski... a do tego Hilary, ...nie! dalibóg nie! to chyba jakaś pomyłka. Hm! ale zkądżeby mnie znał u licha? A możem zapomniał? — Człowiek ma tyle kłopotów na głowie, że nie byłoby nic dziwnego. Ot niedawno np. zapomniałem o imieninach pani burmistrzowej, czego mi darować nie mogła panna Mania.

I ta właśnie okoliczność była decydującą. Bo jeżeli mógł zapomnąć p. Kalasanty o dniu tyle dlań ważnym, to cóż dziwnego, że i teraz pamięć mu nie dopisała. Nawet wyrzucał sobie poczciwiec, że mógł zapomnąć o przyjacielu lat młodzieńczych, z którym razem żydom bili okna. Toż postanowił przyjąć go z otwartemi rękoma i z niecierpliwością oczekiwał dnia i godziny, w której miał przybyć kolega.

III.

Drogi mój Bolku!

Twój pomysł był boski — Twoja rada genialna a Twój szlagun najzacniejszy i najlepszy z wszystkich kolegów, jakich kiedykolwiek ziemia na sobie nosiła. Kiedyś mi radził wyjechać do zupełnie obcego człowieka i przyznawszy się do koleżeństwa — prosić go o gościnność, sądziłem, żeś oszalał albo przy-

najmniej znajdujesz się na najlepszej drodze do Kulparkowa. Tymczasem... lecz posłuchaj raczej i sam osądź o reszcie. Pomijam milczeniem moje myśli, kiedy zbliżałem się do celu podróży. Nie wspominam również ani słówkiem o tem, że przez całą drogę zadawałem sobie pytanie: Ażali będą dla ciebie konie na stacji, czyli też piechotą pójdziesz do Balinowa? Milczę w końcu i o tem, że kiedy w eleganckim faetoniku zbliżałem się do Balinowa, tak mi się jakoś głupio zrobiło, że już chciałem kazać nawracać i uciekać. Lecz już było zapóźno. W tej bowiem chwili wjechałem w aleję topolową, potem na małe podwórko i — konie zatrzymały się przed gankiem. Nie ma rady — myślę sobie — trzeba wypić, co się nawarzyło. Najbardziej obawiałem się pierwszego spotkania t. j. odświeżenia znajomości z człowiekiem, którego w życiu się jeszcze nie widziało. Możesz sobie zatem wyobrazić, jak bardzo byłem kontent, kiedy poczciwy Hopsiewicz, — ta zacna dusza, usłyszawszy turkot bryczki, wybiegł naprzeciw i nie mówiąc słowa, porwał mnie w swoje potężne ramiona, podniósł całego do góry i ściskał i całował tak serdecznie i czule, jak gdyby się pieścił z kochanką, którą po długiej rozłące nareszcie odszukał. A kiedy się zmęczył i ja zsunąłem się na ziemię, odskoczył w tył i przypatrując mi się z uwagą zawołał cały rozpromieniony: Ani na włos — jak Boga kocham! A bałem się — czy uwierzysz? — bałem się, że Ciebie nie poznam. Mój Boże! jakby to można zapomnąć drogie rysy przyjaciela lat młodzieńczych. Kochany! Poczciwy! Ale chodźże! rozgość się u mnie — i mówiąc to wprowadził mnie tryumfalnie do pokoju. Tak więc zostały pierwsze lody przełamane. A kiedy, nauczony przez Ciebie, opowiedziałem przy obiedzie kilka jego „kawałków“ z studenckiego życia, kiedym mu wspomniał o sławnej jego wyprawie na „rendezvous“ z rudowłosą Ruchlą i zemście kulawego Icka, był tak mocno przekonany, że ten, który te szczegóły opowiada, jest jego towarzyszem szkolnym, iż byłby się rąbał z pewnością z każdym, ktoby się był odważył powątpiewać o tem.

Tak więc — dzięki Tobie — zająłem od razu bardzo silną pozycję. Wczoraj i dzisiejszy ranek poświęciłem wyłącznie zrekognoskowaniu terenu. Dzisiaj po obiedzie piszę do Ciebie a jutro rozpoczynam kroki wojenne, o których skutku nie omieszka Cię uwiadomić.

Twój wdzięczny
Hilary.

P. S. Ciesz się przyjacielu! Szczęście moje bez granic. Jutro ją zobaczę! W tej chwili wrócił kochany Hopsiewicz z pola i oznajmił, że jutro t. j. 15. sierpnia zawiezie mnie do Hut i wprowadzi do pp. Rosoczyńskich, których kuzynka panna Mania, obchodzi w dniu tym swoje imieniny. Że nie krzyknąłem głośno na wieść o tem, sam się dziwię. Jak sobie bowiem przypominasz, panna Mania Rosoczyńska, kuzynka burmistrza z Hut i moja nieznajoma z wystawy — to jedna i ta sama osoba. Co za szczęście! Nie wiem, jak wytrzyma do jutra

Twój Hilary.

IV.

Kochany Bolku!

Wczoraj omal nie oszalałem z radości, a dzisiaj... dzisiaj chciałbym, ażeby ziemia się zapadła a z nią Twój nieszczęśliwy Hilary. Okropność! Powiadam Ci, że jestem — no sam nie wiem już czem jestem i co się ze mną dzieje. Słuchaj i płacz nademną.

Z całem niebem w sercu, wyjechaliśmy wczoraj dobrze już z południa z Balinowa. W drodze dowiedziałem się niektórych szczegółów o domie pp. Rosoczyńskich i pannie Mani, o której głupi Hopsiewicz wyrażał się w sposób, jakby mi chciał dać do poznania, że panna mu sprzyja i czeka tylko rychło ją spotka kolosalne szczęście zostania panią Hopsiewiczową. Byłbym zadławił tego adonisa z wiechciowymi wąsiskami i miną fornala. Lecz słuchaj dalej. Przyjeżdżamy do Hut.

W miasteczku jak w ulu. Zaproszeni na bal krzątają się około toalety: reszta wylęgła na „cesarską drogę“ przypatrzeć się strojom gości i spojrzeć chociaż przez okno do rzęsiście oświetlonych salonów, w których pp. burmistrzostwo i panna Mania w balowych strojach wydają kręcącej się służbie ostatnie rozkazy, jak wódz troskliwy w przededniu stanowczej bitwy.

Nareszcie zjawił się gość pierwszy a za nim jakby procesja posypali się zaproszeni. Biedny „Józienko“ nie mógł dać sobie rady. Pocił się, całował i ściskał, obcierając ustawicznie siwiejącą łysinę kraciastą chustką, której nigdy nie wypuszczał z ręki.

— He, he, he! uśmiechał się dobrodusznie Józieczko stojąc w progu. Tego ucałował z dubeltówki, tamtemu uscisnął rękę a trzeciego witał z daleka machając jak chorągwią kraciastą chustką. Panie zaś prowadził do swojej „Siuni“, która stojąc na środku salonu, witała wchodzących z miną zdającą się mówić: Patrzcie! tak przyjmuje was wasza burmistrzowa!

Takie wrażenie odniosłem wchodząc do salonu. Hopsiewicza spotkał zaszczyt nie mały, bo i „Józieczko“ wypalił z dubeltówki i „Siunia“ podała mu łaskawie obie ręce, które on z nabożeństwem ucałował. Ja szukałem wzrokiem panny Mani i dziwiłem się, nie widząc jej w salonie. To też skoro mnie przedstawiono wszem wobec i każdemu z osobna, przystąpiłem do Hopsiewicza i spytałem go o solenizantkę. „A chodźże, — niech Cię przedstawię“. I wziąwszy mnie pod ramię poprowadził do fortepianu, przy którym stała panienka tak niepodobna do mojej nieznajomej z wystawy, jak niepodobną jest pyzata, czerwona i trywialna piwonia do królowej kwiatów, cudnie pięknej i poetycznej róży.

— Mam zaszczyt przedstawić pannie Maniusi mojego najlepszego przyjaciela i kolegę szkolnego — słyszę jakby przez sen chrapliwy głos amatora piwonji.

Ukłoniłem się — podnoszę oczy i zamykam je znowu. Toż miałaby być moja urocza nieznajoma lwowska? Ależ nie! stanowczo nie! Tamta słuszna szatynka z kibicią jak u Dyany i czarnemi oczami, w których odźwierciadla się cała jej dusza ognista i szlachetna. A tu — wyobraź sobie: mała, przysadkowata blondynka z twarzą bez wyrazu i oczami, w których chyba Hopsiewicz jeden mógł coś wyszukać. — Domyśliłem się od razu, że zaszła tu pomyłka, której ofiarą padłem najniewinniej w świecie. Z razu posądzałem Ciebie i Twoje kuzynki o zamiar wypłatania mi figla. Lecz nie. Zapytana bowiem panna Mania opowiedziała mi szczegółowo o swoim we Lwowie pobycie, o widzeniu się z Twoimi kuzynkami i to najdokładniej. Z tego sądząc, możesz sobie wyobrazić, w jakim humorze przepędziłem cały wieczór, po którym sobie tyle obiecywałem. Nareszcie odjechaliśmy. Wróciłem do Balinowa i nie kładąc się wcale — piszę do ciebie z prośbą o wyjaśnienie zagadki. Udaj się do kuzynek, odczytaj im list i proś o radę i pomoc dla Twego najnieszczęśliwszego

Hilarego.

P. S. Ten bałwan Hopsiewicz zaręczył się wczoraj z Piwonią.

V.

Mój biedny Hilary!

Daruj — ale już dawno tak się nie śmiałem, jak dzisiaj po otrzymaniu Twojego listu. Masz racją, zaszła tu pomyłka i to dosyć komiczna a dla ciebie niemiła. W tym samym dniu, kiedy moje kuzynki spotkały pannę Manię Rosoczyńską, chodziły także bardzo wiele z moją siostrą, która przybywszy do Lwowa za sprawunkami, uprosiła je o towarzystwo i pomoc w tej ważnej dla kobiet sprawie. Kiedy więc wpadłem owego pamiętnego dnia do nich i spocony i zdyszany spytałem z kim dzisiaj przechodziły przez rynek, były pewne, że pytam o pannę Manię a nie o rodzoną siostrę i dały mi szczegóły, które Ci natychmiast zakomunikowałem. Reszta wiadoma. Na szczęście — bo zakochani mają szczęście — siostra moja zatrzymała się dłużej we Lwowie i była właśnie u kuzynek, kiedy ja przeczytawszy list Twój, żądałem w Twojem imieniu wyjaśnień. I ona to rozwiązała zagadkę. Wypytawszy się bowiem, jak wyglądasz — opowiedziała nam wśród ogólnego śmiechu o tem, jak ją przez trzy dni prześladował jakiś mazgaj — całkiem podobny do Ciebie i dziwiła się a nawet i gniewało ją to trochę, że od kilku dni nie widzi koło siebie tego, do którego widoku już się była przyzwyczaiła. Tak więc masz szczęście w nieszczęściu. Dla tego wracaj co rychlej a może co z tego będzie. Stasia (tak się nazywa moja siostra) wolna, jej serduszko nie zajęte, a co do mnie życzyłbym sobie, ażebyś został szwagrem Twego kochającego Cię

Bolka.

VI.

We dwa miesiące po opisanych wyżej wypadkach byłem proszony za drużbę na dwa wesela. Jedno odbyło się w Hutach, a szczęśliwymi nowożeńcami byli Wielmożny Pan Jan Kalasanty Hopsiewicz i panna Mania Rosoczyńska, która w dniu tym ważnym była jeszcze czerwieńszą i pulchniejszą jak zwykle. Szczęśliwa! W dniu tym bowiem spełniły się wszystkie marzenia jej dziewiczego serca: bo i męża dostała i została panią dziedziczką jednej piątej Balinowa z przyległościami i prawem połowy propinacji. A druga para? — spytacie piękne czytelniczki. A któżby — jeśli nie Pan Hilary Piórkowski z panną Stanisławą Zamorską. Otrzymawszy list Bolka, pospieszył na skrzydłach miłości do Lwowa a przedstawiony przez brata umiał prędko przekonać o swoich uczuciach pannę, dla której tyle wycierpiał.

Nie potrzebuję dodawać, że byłem na obydwóch weselach. Tam to dowiedziałem się o przygodzie Hilarego a co usłyszałem spisuję wiernie ku uciesze łaskawych czytelniczek.

W styczniu 1886. *Bohdan z Pokucia.*

Potęga prawdy.

(Ciąg dalszy).

Był w istocie niedołęgą wojskowym, ale z czyjej winy? Matce uroiło się widzieć syna oficerem i wbrew powołaniu, mimo próśb i błagania wcisnęła go w mundur, do którego się nie urodził. Wyszedłszy za mąż za urzędnika nieszlachcica, nie mogła pani radczyni przeboleć, że stare imię Mühlsteinów zaginie, dlatego zmusiła jedynego syna do służby wojskowej, pocieszając się nadzieją, że gdy się dosłuży stopnia oficera sztabowego, dostanie nadane sobie szlachectwo i do nazwiska ojcowskiego Althaus przybierze rodzinne jej nazwisko von Mühlstein. Ważny zaiste powód, żeby własnemu dziecku zwichnąć karjerę i obrać mu zawód, do którego miał wstręt i odrazę.

Nieśmiały z natury i przywykły do ślepej uległości woli matki, niezastanowił się Maks nad następstwami, jakie niewłaściwie obrany, a raczej narzucony mu zawód, może w przyszłości pociągnąć za sobą. Matka kazała wstąpić do wojska, więc wstąpił.

Dopiero po nominacji na oficera wglądnął w siebie i przyszedł do przekonania, że na tem polu nie wiele dokaże: zwątpił w własne siły, zniechęcił się i stał się bezmyślną maszyną, która poruszona toczy się w pewnym kierunku tak długo, dopóki jaka przewodnia ręka nie zastanowi jej.

Czuł całą swoją nicość w zawodzie wojskowym, ale nie miał się przed kim zwierzyć, nikt go nie chciał zrozumieć.

A przecież... jedna istota rozumiała go i kochała, takim jak był, ale o niej nie poważyłby się wspomnieć pomiędzy swoimi, musiał milczeniem zaprzeć się tej, którą kochał nawzajem.

Za słaby, ażeby własną wolę przeprzeć w obec matki, za miękki do zwalczenia skłonności serca, z którą się musiał ukrywać, wiódł opłakany żywot kłamiąc matce, kłamiąc wybranej serca.

Świadom własnej niemocy nie spierał się z matką i nie starał się tłómaczyć.

Wyszedł na werandę i oddany myślom, które mu sen odbierały, które zatruwały każdą weselszą chwilę w życiu, usiadł na ławce i z liści dzikich winogron, otaczających werandę, układał arabeski. Oddany cały niewinnej zabawce nie spostrzegł zbliżającej się matki, która stanąwszy nad nim i ujrzawszy porozkładane, a jednak w pewną symetryczną całość wiążące się listki zapytała:

— Co to ma być z tego?

— Wzór na obrus. Ładnie wyhaftowany byłby prześliczny, o wiele gustowniejszy od tego, który mama sprowadziła z Berlina. Ludzie gorszą się dywanami o ludzkich postaciach, zdaje im się niewłaściwem deptać po ludziach, ale na obrusach haftują czerwonych i niebieskich paziów i nie zwracają uwagi, że często otyły żarłok godzi widelcem w oko takiego pazika...

— Powiedz mi, kiedy nareszcie przestaniesz być dzieckiem? Zamiast oddawać się głupstwom raczej dokończyłbyś i oddał kapitanowi rysunki służbowe. Co to było Helenko? Forteca czy mapy?

— Ptaki i drzewa, — odpowiedziała Helena.

— Może na nowy bufet? Za pieniądze, które kosztował nasz bufet, zrobiony według twego rysunku, kupiłabym w magazynie dwa inne z lwiemi głowami, a nie z jakiemiś jarzynami na narożnikach.

— Marchew, mateczko, to jego ulubiona potrawa, dlatego umieścił aż dwie na bufecie — zauważyła panna Helena i z złośliwym uśmiechem zwróciła główkę do zwierciadła, w którem strojna jej suknia w całej odbijała się okazałości.

Wszedł służący i doniósł, że pan radca czuje się cierpiącym i prosi żonę, aby go usprawiedliwiła przed panem v. Gehren.

— Powiedz panu, że ja bardzo proszę, żeby wyszedł do salonu — rozkazała pani radczyni szorstko podkreślając wyrazy.

— Ojciec miał dzisiaj zawrót głowy — zauważył nieśmiało Maks.

— Kto dziś nie cierpi na głowę? człowiek powinien panować nad cierpieniem! — odrzuciła matka z nachmurzonem czołem.

Lokaj zaanonsował: „Pan assesor von Gehren".

W tej chwili zawitał słodki uśmiech na twarzy pani radczyni, a Helena pobiegła do stolika na którym stał samowar i poczęła skrzętnie udawać młodą gospodynię.

Gehren skłonił się nisko pani domu i wycisnął oficjalny pocałunek na podanej sobie ręce, powitał sztywnie uśmiechniętą pannę Helenę, uścisnął przelotnie rękę Maksa i zwrócił się do radcy, który wszedłszy do salonu, skinął lekko głową na powitanie.

Radca skarżył się na ból głowy i prosił Gehrena, żeby go miał za wytłómaczonego, jeżeli nie weźmie żywszego udziału w rozmowie. Szanowna połowica starała się wprawdzie osłabić przygnębiające wrażenie, jakie schorzała postać męża sprawiła na gościu i zapewniała, że to tylko chwilowe cierpienie, które przejdzie niebawem, ale twarz pana Althausa zadawała kłam wszystkim jej wywodom. Na zeschłych i wynędzniałych policzkach śmierć wypisała wyrok zagłady i zdawało się, że gasnące, blasku pozbawione oczy lada chwila zamkną się na zawsze.

Przymus, któremu uległ radca Althaus, wychodząc do gościa i fizyczne cierpienie nie usposabiały go do roli, jaką mu wszechwładna małżonka zakreśliła, nic zatem dziwnego, że chłód wiejący od gospodarza udzielił się gościowi a z tego przeszedł na panie.

Dziwnie nieswojsko było im wszystkim, to też i rozmowa rwała się, podtrzymywana sztucznie przez wygadaną i zawsze przytomną panią radczynię.

Gehren starał się już z obowiązku gościa wprowadzić trochę życia w automatyczne to kółko, sprzęgnięte na dzisiejszy wieczór.

Opowiadał o pobycie w jednym z kąpielowych zakładów górskich, opisywał oryginalne i ekscentryczne stroje pań bawiących u wód, zachwycał się kapelusikami robionymi z żywych kwiatów, silił się na humor i pewną wesołość, lecz nie szło to jakoś i słowa marły mu na ustach.

Panie udawały wielkie zainteresowanie i wsłuchiwały się z pozorną uwagą, myślą jednak były obce temu wszystkiemu.

Pani radczyni zgłębiała swym rozumem o ile stosunek pomiędzy Helenką i Gehrenem mógł naprzód postąpić, tamta układała w główce kostjum na wzór tych, które Gehrena zachwyciły. Radca ściskał głowę w wychudłych rękach, wzdychał od czasu do czasu i wodził omdlałym wzrokiem po otoczeniu.

Maks był duchem zupełnie nieobecny temu co się działo wokoło niego. Bezmyślnie gniótł ośródkę z chleba i urabiał z niej kwiaty i jakieś ornamenta.

Rozmowa, która do kolacji jako tako się wlokła, zaczęła się rwać na dobre, następywały długie i przykre pauzy, których nawet pani radczyni, wprawna w konwersacji o niczem, nie umiała wypełnić.

Po kolacji podniósł się radca, podał gościowi cygaro i przeprosił, że opuszcza towarzystwo, ale ból głowy dojmuje mu niezmiernie, a światło potęguje jeszcze bardziej cierpienie.

Maks wyszedł za ojcem niespostrzeżony.

Gehren ujrzawszy się sam na sam z paniami, doznał uczucia pewnej obawy. Unikał starannie takiego tète a tète.

Radczyni tym razem postanowiła rzeczywiście zrobić krok stanowczy, któryby ją zbliżył do zamiarów powziętych od pierwszego poznania Gehrena.

— Czy nie jesteś cierpiący, panie Romanie? — zwróciła się do Gehrena, nastroiwszy głos na najczulszą melodję.

— Zdaje się pani dobrodziejce! — odpowiedział.

— Widzę to po panu i jeżeli nie cierpisz fizycznie, mogłabym zaręczyć, że ulegasz cierpieniom moralnym. Nie dziwię się zupełnie. Samotność usposabia człowieka do melancholji, dla tego powinienbyś, kochany panie Romanie, pomyśleć o własnem ognisku domowem. Wierzaj mnie, doświadczonej kobiecie, że nic nie leczy tak prędko jak czuła i troskliwa ręka kochającej żony.

Strzał był silny i celnie wymierzony, ale odbił się bez skutku od uzbrojonej w konwencjonalną grzeczność piersi Gehrena.

— Podzielam w zupełności te zapatrywania, ale niestety nie mogę nawet marzyć o czemś podobnem, przynajmniej nie w obecnem mem położeniu... Jakież rękojmie dałbym przyszłej mej żonie pod względem materjalnym? Z skromnej płacy asesora zaledwie jeden człowiek może wyżyć w dzisiejszych czasach, a o rychłym awansie ani myśleć przy obecnem przepełnieniu — odparł Gehren grzecznie albo chłodno.

— Nie schodźcież państwo na nudny temat o rzeczach tak prozaicznych. Że też wszyscy panowie urzędnicy podobni do siebie w tym względzie? Liczą i liczą swych poprzedników, kombinują kiedy na nich przyjdzie kolej awansu i zatruwają sobie każdą przyjemniejszą chwilę życia, — wygłosiła Helenka bawiąc się uszczkniętą z bukietu różą...

— Panna Helena nie miała jeszcze sposobności poznać tę prozaiczną stronę życia — odpowiedział Gehren. — Dlatego nic słuszniejszego, że z całą swobodą i bez troski spogląda w przyszłość i byłoby zbrodnią gdyby ktokolwiek dziś już zakłócił ten spokój, narażając panią na kłopoty. — Walkę o byt codzienny należy zostawić tym, którzy ciężar ten zdołają udźwignąć: — wygłosił Gehren na pół mentorskim głosem i powstał zabierając się do wyjścia.

— Krzywdziłbyś pan Helenkę — odrzekła matka, — posądzając ją o brak przejęcia się obowiązkami jakieby na nią włożyły zmienione stosunki. Człowiek któremuby oddała swą rękę może być pewnym współczującego serca i tej troskliwej opieki, o której wspomniałam przed chwilą.

— Nikt nie zdolny ocenić tych przymiotów lepiej odemnie — zakończył Gehren drażliwą dla siebie rozmowę i wyszedł skłoniwszy się paniom oficjalnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Plotki lwowskie.

Więc znowu jeden tydzień utonął w morzu karnawałowem, znowu jeden tydzień zbliżył nas do smutnej ceremonji posypania głowy popiołem, rozpłynął się w mgle zapomnienia i pozostawił po sobie jedynie kilka falban, serc i rękawiczek podartych. Lecz ten już nie był, jak jego poprzednicy, apatyczny i bezkrwisty. Już nasze lakiery przeszły pierwszy ogień mazurowy, już zmarszczki na ich świecącem licu wskazują na werwę odczutą w nogach. Już dla plotkarza otwarte szerokie horyzonty, już notyska moja ma kilka kartek zapisanych, cóż z tego, gdy każdy z tych skandalików funtem pieprzu osypany, nie nadaje się do niniejszej kroniki.

Opowiem wam chyba przykry a zarazem komiczny wypadek jednego z moich znajomych. Biedaczysko półtora roku pukał do serca panienki, półtora roku jak czuły trubadur wyspiewywał przy jej fortepianie i czekał w niepewności jedynie na sposobną chwilę, by z drżeniem w głosie wyznać jej ogrom swego uczucia.

I właśnie sposobność taka zdarzyła się na onegdajszym balu....

Wśród rozkołysanych i namiętnych tonów boskiego walca przyznał się jej do postrzału Erosa, a na prośbę o drobniutką rączkę uczuł lekkie uściśnienie dłoni i usłyszał z karminowych ustek ciche odesłanie do mamy.

Jak bomba wpadł do bufetu, a zastawszy tam kilku znajomych, szampanem począł oblewać swą radość.

Za pół godziny tuzin złotoszyjnych butelek stał z ukręconymi łebkami.

— Galop panowie, galop, danserki czekają — ozwał się w bufecie koguci, zachrypły głos aranżera. — Panowie, połowa pań nie tańczy, galop.

Zerwał się nasz młodzieniec, pędem pobiegł do sali, porwał swój skarb w objęcia i w szalonym wirze puścił się wokoło.

Niedługo jednak trwała ta galopada, gdyż wir udzielił się głowie, głowa podała go nogom, i — bęc! danserka wraz z danserem znaleźli się na ziemi w najnieestetyczniejszej pozycji.

Zanim nasz niefortunny młodzieniec zdołał się jako tako otrząść z wiru i pozbierać z ziemi, panna zarumieniona uciekła do garderoby i natychmiast odjechała z balu.

Na drugi dzień biedaka służący od drzwi zawrócił oznajmieniem, iż pani nie przyjmuje.

Ot, i koniec historji jednego podartego serca w tym tygodniu. Nie płaczmy jednak nad niem, gdyż w naszym wieku serca łatają się łatwiej niż rękawiczki.

Plotkarz.

„Drukarnia Polska“, ulica Jagiellońska l. 16.